

Rozdział III DYWERSJA

Słoneczko wyżej, Sikorski bliżej... Cała Polska, jak długa i szeroka, powtarzała te słowa. Nadchodziła wiosna. Z południa wiały coraz cieplejsze wiatry. Po ostrej zimie 1939/1940 każda oznaka zbliżającej się wiosny budziła niezwykłą radość. Nie tylko ze względów biometeorologicznych, ale też dlatego, że spodziewaliśmy się wszyscy, iż teraz dwie największe potęgi militarne, jak powszechnie sądzono, ówczesnego świata zabiorą się do Niemców, którzy muszą ulec potężnym ciosom z morza, lądu i powietrza.

Ta wiara w sprawiedliwy finał wojny dodawała nam wszystkim siły i nadziei. I oto idę rozświetloną pierwszymi wiosennymi promieniami ulicą Rzgowską w Łodzi, bacznie rozglądając się na obie strony. W wiosennych kałużach błyszczą pogodnie błękitne niebo, twarze przechodniów rozjaśnione, ruchy energiczne i pełne jakiegoś optymizmu.

Wreszcie moim oczom ukazuje się skromny szyld sklepiku galanteryjnego. Na wystawie jakaś czapka, trochę rękawiczek, guziki i podwiązki damskie. Jeszcze jeden rzut oka, skonfrontowanie tego, co widzę, z tym, co na temat sklepiku słyszałem. Nie ulega wątpliwości. To tu.

Wchodzę po kilku schodkach, naciskam klamkę. Dzwonek zawieszony u góry sygnalizuje wejście klienta. Cóż za mizerny sklepik! Piecyk żelazny, długa rura odprowadzająca dym, poprzez szczeliny widać wesoło buzujący ogień.

Subiekt za ladą siedzi na stołku i czyta gazetę. Przy takim wyborze towarów nie musi mieć zbyt dużo roboty. Wstaje, spogląda na mnie pytająco, apatyczny, jakby antycypujący owe postacie z rozmaitych dzisiejszych naszych miejskich handlów detalicznych, którym nie zależy na kliencie ani na towarze, ani na utargu.

- Słucham pana...
- Proszę pana, mam interes do Bolka...

To było umówione hasło. Subiekt ożywił się, apatia zniknęła gdzieś w oka mgnieniu, spojrzał na mnie już pełen energii.

- To dobrze, że pan jest. Czekaliśmy na pana. Proszę usiąść. Bolek będzie za chwilę. Przysiadłem koło piecyka, skąd promieniowało miłe ciepło – wesoło pomrukiwał ogień, trzaskały polana.

Wkrótce zjawiał się komendant Kadr Bojowych Wojska Polskiego Warski¹. Miłe zaskoczenie. Zakonspirowany pseudonimem Warski okazał się moim kolegą z harcerstwa. Przypomnieliśmy się sobie wzajemnie: tak, to było na obozie w Juszczyńcu Podhalańskim za dawnych dobrych czasów w 1928 r. Taka znajomość nie jest rzeczą najlepszą z punktu widzenia ścisłych reguł konspiracji, ale przecież nie tylko techniczne reguły rozstrzygają o wszystkim; także i inne czynniki, jak koleżeństwo, atmosfera przyjaźni i wzajemnego zaufania. Wymiana prywatnych serdeczności trwała jednak bardzo krótko.

- Zajmiecie się u nas służbą łączności radiowej- powiedział Warski. – Nie muszę wam tłumaczyć, jaka to ważna i odpowiedzialna funkcja.
- Tak jest – odpowiedziałem. I spytałem natychmiast: - Co mamy do dyspozycji, jaki sprzęt, jakie meliny.
- Nic – brzmiała odpowiedź – a łączność radiową musimy nawiązać jak najprędzej. Musicie we własnym zakresie zorganizować radiostację, nie – poprawił się – co najmniej ze trzy, bo przy jednej nie utrzymalibyśmy za długo kontaktu. Rozumiecie: wsypy, służba goniometryczna...

Kadry Bojowe Wojska Polskiego były organizacją wojskową, w wojsku nie prowadzi się dyskusji na temat wydanych rozkazów. Zresztą, cóż to znaczy możliwe lub niemożliwe?

¹ Warski – mgr Bolesław Matula, kpt. rez., b. d-ca 8 komp. w 12 pp AK pod pseud. Rosomak

Nauczono mnie w harcerstwie pewnego sposobu patrzenia na rzeczy, zjawiska i zadania, które zostały postawione przed nami. Mianowicie: dostrzegać przede wszystkim to, co umożliwia postawienie pierwszego kroku. Później, po zrealizowaniu tego, co jest w granicach możliwości, choćby to było bardzo nikłe osiągnięcie, zaczynają pojawiać się nowe perspektywy. Tak myślałem po pożegnaniu z Warskim, od którego zresztą nie wyszedłem z pustymi zupełnie rękoma. Otrzymałem trochę pieniędzy, wskazano mi mieszkanie w Łodzi, taki sobie bardzo paniński pokój na parterze czynszowej kamienicy. Aż nieswojo mi się zrobiło, gdy się wpakowałem do tych koroneczek, firaneczek i białych mebelków. Pierwszej nocy, gdy utonałem w puchach i ślicznościach, śniło mi się, że jestem – jakąś dziwną mocą przemieniony – panienką w sukieneczce w kwiatki, z kokardką we włosach. Taki sen konspiratora byłby nie lada kąskiem dla jakiegoś adepta nauki Zygmunta Freuda.

Nazajutrz jednak mało miałem czasu, aby rozmyślać o znaczeniu snów, musiałem iść do warsztatu elektrotechnicznego na przedmieściu Łodzi i zapytać o pana Bertolda. Poszedłem, po chwili w długim niebieskim fartuchu pojawił się ten, o kogo pytałem.

- Pan sobie życzy?

Serce mi zastygło. Przede mną stał typowy Niemiec, schludny, solidny, jak to oni bywają, mówiący po polsku z wyraźnym akcentem. Zadudniło mi w mózgu. Czyżby to jakaś pomyłka? Ale chyba nie: adres ten sam, imię to samo. Czy zaczynać rozmowę od słów umówionych, czy też tak raczej dookoła Wojtek?

Wybrałem drugą metodę. Musiałem to czynić niezręcznie, gdyż mój rozmówca stał się niespokojny, jakby zdziwiony.

- Ale o co właściwie panu chodzi? – zapytywał raz po raz, zerkając na dudniący z tyłu warsztat, jakby chcąc dać do zrozumienia, że jest zajęty i nie zamierza tracić czasu na rozmowy z kimś, kto sam dobrze nie wie, czego chce.

Wreszcie wypowiedziałem magiczne słowa. Twarz tamtego rozjaśniła się.

- Trzeba było tak od razu... No, dobrze, dobrze.

Wypowiadał to: "topsze, topsze".

Bertold był wykwalifikowanym radiotechnikiem. Powtórzyłem mu rozkaz zmontowania trzech radiostacji. Pokiwał głową, nic nie powiedział, kazał przyjść pojutrze.

Pojutrze zabraliśmy się do roboty. Przy ulicy Głównej mieściła się szkoła powszechna, gdzie hitlerowcy zmagazynowali skonfiskowany u Polaków i Żydów sprzęt radiowy. Jakim cudem Bertold wszedł w porozumienie z woźnym tej szkoły, tego nie wiem. Zresztą wpajano nam zasadę, że im się mniej wie, tym lepiej. Toteż powoli przyswajaliśmy sobie odruch bardzo użyteczny w warunkach konspiracyjnych i bardzo niebezpieczny w warunkach normalnego życia, odruch poskramiania ciekawości i naturalnego u człowieka impulsu, aby wiedzieć jak najwięcej. I oto przed szkołą powszechną przy ulicy Głównej rozegrały się coś ze dwa razy takie pantomimy: o umówionej godzinie zjawiam się w punkcie odległym o kilkanaście metrów od wejścia do szkoły. Czekam koło przystanku tramwajowego z ni to torbą, ni to teczką, jakiej używają robotnicy łódzcy do noszenia narzędzi, żywności etc. Przejeżdża jeden tramwaj, odjeżdża drugi, ludzie się zmieniają, dzięki czemu moja obecność nie zwraca uwagi.

Zmrok już gęstnieje, w pewnej chwili odczuwam dotknięcie czyjejś ręki. Nie odwracam się, wiem, że to Bertold. Szybko w pobliskiej bramie przepakowuje z kieszeni części radiowe do mojej torby, po czym idzie po raz drugi na „polowanie” w szkole powszechniej. Wkrótce torbę i kieszenie mamy wypchane wszelkimi lampami, prostownikami, masą rozmaitych elementów radiotechnicznych. Woźny ponagla („Panowie, bierzcie, co macie wziąć, ale jutro nie przychodźcie”). Biedak, chce nam pomóc, ale nie bez racji drży o swoją skórę. Nie wie jednak, że musimy z tego zmontować trzy radiostacje nadawczo-odbiorcze, że do tego celu trzeba użyć masę części w dodatku z góry nie wiadomo, co do czego będzie pasowało, więc trzeba na wszelki wypadek, brać wiele więcej.

Powoli skompletowaliśmy wszystko, skoczyłem jeszcze do Warszawy po kryształy, których w Łodzi w żaden sposób nie można było zdobyć. Kryształ – to najważniejsza część radiostacji, to jej serce.

Gdy prace przygotowawcze zbliżały się ku końcowi, zjawił się na naszym horyzoncie Dzierżyński, szef wywiadu Kadr Bojowych Wojska Polskiego, którego obowiązkiem było wyszukać dla nas odpowiednie meliny na radiostacje i zająć się ich ochroną.

Zmontowaliśmy trzy radiostacje. Jedną umieściliśmy – pamiętam to doskonale – na Chojnach. Pan Zygmunt Błaszczyński był członkiem łódzkiej Straży Pożarnej. Mówił świetnie po niemiecku, może dlatego zdołał się utrzymać na stanowisku, mimo intensywnie prowadzonych przez Niemców czystek, mających odpolszczyć służbę magistracką w Łodzi.

Jego drewniany, przytulny domek stał w małym ogródku, w cichej dzielnicy. W szopie, w głębokim dole, umieściliśmy główne urządzenia radiostacji. Stamtąd przeprowadziliśmy przewód do pokoju, w którym nadawaliśmy. Wokół domu rosły wysokie drzewa. Gdy ściemniało się, rozwieszaliśmy antenę i ku odległemu, szerokiemu światu płynęły nasze sygnały.

Emisja trwała z reguły kilkanaście minut. To tak łatwo powiedzieć: kwadrans, może mniej. Ale trzeba pamiętać, że w tej sekundzie, w której nadaliśmy pierwszy sygnał, niemiecka służba goniometryczna w samochodach, jakie teraz często widuje się na filmach z czasów II wojny światowej, rozpoczynała poszukiwanie nadajnika. Wiedzieliśmy doskonale o tym i dlatego kwadrans emisji mało był podobny na przykład do kwadransa oczekiwania na pociąg.

Państwo Błaszczyńscy przeżywali te pełne napięcia minuty razem z nami, może jeszcze bardziej, gdyż my, mimo wszystko, byliśmy czymś zajęci – nadawaniem, obsługą, odbiorem – i to jakoś zmniejszało napięcie. A oni byli beczynni; nic tak nie potęguje zdenerwowania jak beczynność, jak bierne oczekiwanie na katastrofę, która może nadejść.

Takie seanse odbywały się dwa razy w tygodniu. Bertold, który poza swoimi kwalifikacjami radiotechnicznymi, rzeczywiście bardzo wysokimi, umiał robić chyba wszystko, co ma jakikolwiek związek z rzemiosłem, z „rękodziłem”, aby użyć tego starego polskiego słowa, zmajstrował dla państwa Błaszczyńskich w prezencie znakomity, napędzany elektrycznością aparat do produkowania spirytusu, którego czasem próbowaliśmy. Wszystkim nam należało się trochę odprężenia.

A poza tym państwu Błaszczyńskim, którzy dla nas stawiali na jedną kartę właściwie wszystko, co posiadali, z własnym życiem włącznie, którzy uczestniczyli chyba w najbardziej, jaka może być, niebezpiecznej robocie konspiracyjnej, należał się jakiś ekwiwalent. Większość więc produkcji naszej, a właściwie Bertoldowej gorzelnicy przeznaczona była na „zaopatrzenie rynku” i pan Błaszczyński do głodowej pensji mógł doliczyć zupełnie niezły zarobek. Nie pozostawał on, oczywiście, w żadnej proporcji do ryzyka i do nerwowego napięcia, toteż nie myśleliśmy o nim jako o wynagrodzeniu, ale po prostu jako o koleżeńskiej pomocy.

Druga radiostacja mieściła się na Retkini. W miarę rozwoju sytuacji naszą amatorską radiostację zastąpiliśmy śliczną, wygodną, a przede wszystkim niewielkich rozmiarów radiostacją ze zrzutu. Gdzie się mieściła trzecia, w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę, ale chyba na Rokiciu.

Tak płynęły wiosenne dni 1940 r., dni, kiedy to każdego ranka oczekiwaliśmy jakiejś wielkiej i radosnej wiadomości. Tak, za parę miesięcy miały przyjść te wiadomości. Fakt, że były wielkie, ale bardzo nieradosne.

Gdzieś w końcu marca, a może był to początek kwietnia, otrzymałem wiadomość, że mam się stawić w pewnym kantorze przy ulicy Piotrkowskiej. Poszedłem. W pierwszym pomieszczeniu urzędnicy pracowicie wypełniali zadrukowane gotyckimi literami formularze. Zbliżyłem się do tego, który siedział najbliżej okna. Był łysy, na czubku głowy rosły mu

śmieszne kłaczki. Podniósł oczy krótkowidza ku mnie, gdy wypowiedziałem umówione słowa, i tymi oczami powiedział mi, że mam iść dalej, przez drzwi, które znajdowały się w lewym kącie pomieszczenia.

Mały ciemny korytarzyk, następne drzwi, pokój z żelaznym, trochę dymiącym piecykiem, małe okienko, przez które było widać zabudowania fabryczne czy warsztatowe. I pierwsza postać: mjr Zagłoba! Tak, ten sam, z ambasady w Budapeszcie.

Nie wiem, czy wtedy używał tegoż pseudonimu, w każdym razie był taki sam, jak wśród wspaniałości naszej ambasady w Budapeszcie: opanowany, schludny, choć znacznie mniej elegancki. Widać też było, że czynił wysiłek, aby sylwetce swojej nadać trochę znamion zaniechanego cywila, nie powiedziałbym jednak, aby wyniki były zadawalające. Ludzie, którzy mają za sobą dłuższą służbę wojskową, zachowują jakieś niezatarte piętno w zachowaniu się, poruszaniu, sposobie mówienia, nawet w geście, w którym wkładają czy zdejmują kapelusz, jest coś takiego, co uważnemu obserwatorowi pozwala na prawie nieomylną diagnozę. Podobnie zawód lekarza czy adwokata wytwarza zespoły odruchów, które, związane z czynnościami zawodowymi, stają się na stałe częścią osobowości.

Za chwilę zobaczyłem komendanta Kadry Bojowych Wojska Polskiego, Warszawskiego. Było jeszcze parę osób, ale ceremoniał wzajemnego przedstawiania się nie wchodził do konspiracyjnej etykiety.

- Od dnia dzisiejszego – mówił swoim rzeczowym i „bezdyskusyjnym” tonem Zagłoba – organizacja Kadry Bojowe Wojska Polskiego przestaje istnieć. Przechodzicie do służby w Związku Walki Zbrojnej. Organizacja jest jedna dla całego kraju.

Po czym otrzymałem rozkaz zameldowania się po kilku dniach u Witolda² na Zgierskiej. Witold, popularnie zwany przez nas potem „kowbojem”, był szefem służby wywiadowczej łódzkiego okręgu.

Długo szedłem ulicą Zgierską, zanim odnalazłem parterowy domek stojący w małym ogródku. Nie było dzwonnka, zapukałem więc do drzwi. Otworzyła mi jakaś pani, starsza już, siwa, w czarnej sukni i białym fartuchu.

- Ja do Witolda.

- A, to proszę.

Witold miał okrągłą twarz, był blondynem, zwracały uwagę jego głębokie i bardzo zimne, stalowe oczy. Posadził mnie na kanapie, sam usiadł na jakimś krzeselku, przypatrywał się przez czas jakiś w milczeniu, potem oznajmił:

- U nas będziecie się nazywać inaczej. Ustalmy od dziś nazywacie się Rusinowski.

Było to już trzecie fałszywe nazwisko w mojej konspiracyjnej karierze. Najpierw nazywałem się Westfalewicz, później – bardziej ludowo – Zawiasa. Każda taka zmiana osobowości związana była z pewnym wysiłkiem psychicznym. Trzeba było nie tylko wyuczyć się nowych personaliów, ale także zapomnieć o dawnych. O ile w sztuce zapamiętywania osiągamy pewną biegłość, o tyle sztuka zapominania jest traktowana przez psychologów po macoszemu. A nieraz myślę, już niezależnie od zagadnień konspiracyjnych, że równie ważną rzeczą w życiu człowieka jest umiejętność zapominania, jak umiejętność pamiętania; jest wiele rzeczy niepotrzebnych, którym trzeba powiedzieć: precz z mej pamięci; już wielki Adam Mickiewicz w pięknym wierszu o Maryli zauważył, jakie to trudne, a czasem wręcz niemożliwe.

Omówiliśmy z Witoldem szczegóły pracy radiostacji oraz ustaliliśmy sposoby kontaktów organizacyjnych. Będę teraz pracować dla Związku Walki Zbrojnej. Po wyczerpaniu bieżących spraw chciałem się pożegnać, ale Witold zatrzymał mnie.

- Słuchajcie, nie liczcie na naszą pomoc w razie wpadki.

² Witold – płk Zygmunt Walter-Janke, później komendant śląskiego Okręgu AK

Zapanowało niemiłe milczenie, przyzwyczailem się do tego, że nasza praca jest ubezpieczona, a w razie, gdyby Niemcy... W takim wypadku sądziłem, że cała organizacja będzie walczyć, aby mnie wydostać. Widocznie zaskoczenie musiało odbić się na mojej twarzy, gdyż Witold dodał:

- Tak, przede wszystkim musicie liczyć na siebie samych. Żadnej ostrożności nie można lekceważyć, każdy drobiazg jest ważny, starajcie się o maksymalne bezpieczeństwo pracy. Niektórzy ryzykują, brawurują, licząc, że całą armię będziemy ściągać, żeby ich z niemieckich rąk wyrwać. To bardzo niedobry zwyczaj.

Urwał, wstał z krzeselka i podszedł do biurka. Manipulował chwilę przy szufladzie, po czym, jeszcze odwrócony tyłem do mnie, powiedział:

- A teraz otrzymacie taki kluczyk ode mnie... Łatwo nim otworzyć pewne drzwi, które mogą się dla was okazać niezbędne.

Zdziwiłem się, gdy zamiast metalowego przedmiotu, podał mi małą ampulkę.

- Zaszycie to sobie w lewej klapie marynarki przy samym rogu, tu w górze – dotknął palcem miejsca. – Nawet jeśli skują wam ręce, możecie nachylić się nieznacznie, ot tak – tu przegiął lekko szyję – naciśnięcie zębami, podobno wszystko razem nie trwa dłużej niż parę sekund.

Tak zaczęła się dalsza faza mojej działalności konspiracyjnej w Związku Walki Zbrojnej.

Niedługo dane mi było cieszyć się funkcją szefa radiostacji. Nie żebym ją utracił, sprawowałem ją cały czas. Ale zdarzył się wstrząs, bardzo poważny, w naszej łódzkiej organizacji.

Szefem sztabu naszej organizacji Kadry Bojowe Wojska Polskiego był Wojtek Miszewski, człowiek równie zdolny, jak skłonny do uniesień i optymizmu. Nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy na rozkaz, opracował on szczegółowy plan opanowania przez nasze siły Łodzi w wypadku klęski Niemców. Dziś, kiedy znamy historię tego, co nastąpiło później, taka działalność sztabowa na początku 1940 r. może w nas wzbudzić tylko smutne refleksje. Ten plan wraz – o romantyzmie polski! – ze sztandarem przedwojennej organizacji politycznej – zdaje się Myśli Mocarstwowej - trzymał w skrytce w swoim mieszkaniu.

Niemcy mieszkanie zabrali, jak zwykle oni: walizeczkę do ręki i wynocha. Wojtek oczywiście nie zdążył opróżnić skrytki, usiłował później tam się zakraść, ale się nie udało i wszystko trafiło w ręce gestapo. Taka gratka: Związek Mocarstwowy plus plany opanowania miasta, opracowany według wszelkich reguł sztuki wojennej. Po połączeniu ze Związkiem Walki Zbrojnej Wojtek został zastępcą komendanta miasta Łodzi. Gdy wywiad nasz dowiedział się, że Wojtek jest poszukiwany przez gestapo, kazano mu wyjechać z Łodzi. Jednak po jakimś czasie został aresztowany jako Maciej Raróg. O ile wiem, zginął w jakiejś kaźni niemieckiej w Berlinie. Nieszczęśliwa ofiara optymizmu „słoneczko wyżej - Sikorski bliżej” i lekkomyślności. To przykre, ale kto wie, czy gdyby nam zabrakło tego narodowego optymizmu i tej, proszę wybaczyć, narodowej lekkomyślności, czy wtedy starczyłoby nam sił na prowadzenie tak nierównej i, tak „buchalteryjnie” rzecz biorąc, beznadziejnej walki, która przecież zakończyła się zwycięstwem?

Sporo u nas ludzi, którzy chętnie zabraliby się do zbierania, lecz z wyraźną abominacją ustosunkowują się do siania. Dobrze jest cieszyć się jakimś produktem, ale pamiętać się też godzi i o jego kosztach własnych.

Myślę nieraz, że pewien procent brawury, ryzyka i optymizmu, nie zawsze usprawiedliwionego konkretnymi okolicznościami, jest niezbędnym składnikiem wielu ludzkich poczynań. Tchórz umiera sto razy dziennie, odważny tylko raz w życiu. Mówi się też, że odwaga daje człowiekowi nieśmiertelność.

Sprawa Wojtka Miszewskiego miała całkiem konkretne konsekwencje dla mnie. W organizacji powstała wyrwa, którą trzeba było zapełnić, a że znajdowałem się pod ręką,

więc rzecz oczywista zaczęto mię obarczać najrozmaitszymi funkcjami, odległymi bardzo od służby radiowej.

Mianowano mnie na jakiś czas w miejsce Raroga zastępcą komendanta miasta Łodzi, powierzano rozmaite, prawie polityczne funkcje związane z porządkowaniem „dzikich” organizacji podziemnych, które w Łodzi i wokół miasta wyrastały jak grzyby po deszczu. Konspiracja jest sztuką trudną i skomplikowaną, dobra wola, płomienne serce, żywe umysły są z pewnością rzeczą najważniejszą, niestety nie jedyną; brak wiedzy o technice działania spowodować może nieobliczalne wprost straty. Toteż – żartowali niektórzy – zbyt samowolnie i nieumiejętnie poczynające sobie konspiracje, jak to się mówi, „z Bożej łaski”, były dla prawdziwej organizacji niewiele mniej groźne niż gestapo. Groźne oczywiście w inny sposób, głównie przez to, że prowadziły do wytracania ludzi wartościowych i przydatnych, że wprowadzały pewną anarchię w ruch podziemny, anarchię tam, gdzie właśnie idealna organizacja jest główną siłą.

Historia pertraktacji, rozmów, perswazji, próśb i gróźb, zabiegów integracyjnych czy koordynacyjnych – to osobny, ciekawy i obszerny rozdział mojego życiorysu, który tutaj pomijam w myśl zasady, że chęć napisania o wszystkim bardzo łatwo przeistacza się w opowiadanie o niczym. Na czymś się trzeba skoncentrować, coś wybrać, selekcja podobno jest istotą opowiadania.

W toku tej działalności nawiązał też kontakt ze mną prowadzony przez poznaniaków „Związek Odwetu”. Współpraca ta dała początek najciekawszym fragmentom mojej działalności konspiracyjno-dywersyjnej.